

Ksiezniczka
Zoja

Księżniczka

Zoja

Marcin Szmel

Dla Zoi – niech każde kolejne urodziny
przynoszą Ci wyłącznie dobre opowieści
i ludzi, z którymi będziesz rozumieć się
bez zbędnych słów.

Wstęp

Pan Yuval Noah Harari – bez wątpienia jeden z najmądrzejszych ludzi na świecie – uważa, że jesteśmy tym, kim jesteśmy, wyłącznie dzięki opowieściom. Wszystko, co stworzyliśmy i w co wierzymy, wszystko, co nazywamy kulturą, społeczeństwem, tradycją, cywilizacją lub co kryje się za każdym innym trudnym i niezwykle „dorostym” wrażeniem, to efekt snucia opowieści. Podobnie jak całkiem zwyczajna na pozór rodzina, szkoła, podwórkowa paczka lub klub kłótliwych wrózek z 3 A. Ludzie nie byłiby sobą bez opowieści, w których najwyraźniej kryje się więcej, niż zdradzałyby to same słowa, zatem można w nich także usłyszeć i to, czego na pozór tam wcale nie ma. Pan Harari

ma sporo racji – jak większość mędrców. A jednak wszyscy wiemy, że to, co najistotniejsze, obywa się bez słów, a dużo ważniejsze jest wspólne milczenie i dzielenie ciszy. I dopiero kiedy rozumiemy się bez słów, możemy snuć własną opowieść – tajemniczą, choć otwartą dla innych. Opowieść przyjaźni, miłości, zaufania, oddania i wspólnych marzeń. Jest w tym jakiś paradoks (świetne słówko ze zbioru tych najlepiej brzmiących i najmniej oczywistych w słowniku dziesięciolatki – ale do tego jeszcze dojdziemy).

Księżniczka Zoja miała lat niespełna dziesięć i bez wątpienia była właśnie księżniczką – nosiła przecież piękne sukienki ozdobione kaskadami falbanek i kolorowe wstążki we włosach (jeśli akurat miała na to ochotę, co prawdę mówiąc, nie zdarzało się zbyt często), władała całkiem okazałym dworem pluszowych poddanych, zasiadała na tronie z poduszek, a kiedy wpadała w zły humor, cały świat spełniał jej życzenia, by przepędzić smutki. No, może nie cały świat i nie wszystkie smutki, ale czasami „na podkówkę” udawało się ugrać jakiegoś łakocia, a już z pewnością uścisk mamy i kilka słów pocieszenia. Jeździła też konno – skoro mowa o podkówkach – a to już

zdecydowanie wyróżnik księżniczek. Podobnie jak gra w szachy, nauka śpiewu, rysunku, tańca, fechtunku czy języków obcych krain na wypadek, gdyby przyszło jej kiedyś spotkać na balu jakiegoś zalotnika, który przybył z dalekich stron, a którego trzeba przywołać do porządku. Zoja miała to nieoczywiste szczęście, że mogła wciąż próbować nowych zajęć, i tę zgryzotę, że w praktyce nie wszystko sprawiało taką radość jak w wyobrażeniach. Rodzice westchnieniami kwitowali kolejne pomysły i świeżo odkrywane pasje, a także pełne rozczarowania próby. Ona zaś powiedzenie o słomianym zapale uważała za dalece niesprawiedliwe – w końcu dziesięć lat to zbyt mało, by wiedzieć już, co stanie się magicznym odkryciem i pomysłem na przyszłość, ale za to w sam raz na wszelkie próby. Zamieniała więc pędzel na pianino albo baleriny na hulajnogę. Nie mieszkała w zamku o stu i jednej wieży, co najwyżej w nieszczególnie wyjątkowej wieży o stu i jednej komnacie, gdzie mieszkańcy wymieniali uprzejmości w windzie

lub na parkingu. Wieży nie otaczały rozległe ogrody, tylko dość zwyczajna sieć ulic i biurowców, a strażników na granicach dawno już zastąpiły kamery i domofon. Ale przecież jej mama była księżną, która potrafiła oczarować cały świat, roztaczając aurę majestatu i spokoju, piękna oraz uprzejmości typowej dla szlachetnej damy. Musiała więc być księżną. Tata władał państwem małym jak codzienność, a zarazem wielkim jak serce, i nawet jeśli składało się ono głównie z piwnicy, garażu oraz biurka wypełnionego nieprzebranymi stosami dokumentów, schematów i analiz, to jednak był księciem. Miał własną pieczęć, a zamiast korony wolał wtykać za ucho ołówek.

Księżniczka Zoja była księżniczką właśnie dlatego, że mogła nią być i mogła się nią poczuć. Mama każdego dnia stawiała się dla niej na przemian wojowniczą amazonką i wytrawną dyplomatką, a tata gotów był zastąpić setkę ciężkozbrojnych rycerzy albo długobrodzkiego mędrca, by dzieciństwo Zoi otaczały

bezpieczne mury. Magiczne mury w dodatku – przezroczyste, kiedy spoglądać na zewnątrz, dzięki czemu wcale nie przestaniały świata z jego wszystkimi cudami i tajemnicami, ale niezdobyte dla wrogów.

Dobrze się domyślcie. Zoja była taką księżniczką, którą bywa zazwyczaj każda inna dziewczynka na świecie. Co wcale nie oznacza, że księżniczką udawaną. Nie ma prawdziwszych księżniczek ani bardziej wyjątkowych niż wszystkie córki swych zatroskanych rodziców. Tylko one potrafią sprawić, że wszystko staje się tym, co sobie same wymarzą, a w codzienność wlewa się magia. Choćby na moment i choćby tylko w małym domowym królestwie. Ale któż inny może sprawić, by plastikowa zastawa przeistoczyła się w wytworną porcelanę, drewniane klocki – w marmurowe kolumny sali balowej, a sprana maskotka – w szlachetnego księcia? Każda niewielka księżniczka w każdym niewielkim królestwie – którego rytm wyznacza poranny budzik, popo-

łudniowa krzątanina i wieczorna zaduma nad tym, w jaką rolę musi się jutro wcielić mama, a w jaką tata, by nic nie zmąciło marzeń ich dzieci – posiada moc sprawiania prawdziwych cudów. Sama w sobie jest bowiem cudem.

Zoja miała sto czterdzieści centymetrów wzrostu, duże, pełne blasku i radości oczy, drobny nosek, zgrabną bródkę, charakterek małej buntowniczkii oraz głowę pełną pytań. Nie przepadała za truskawkowymi deserami, za to uwielbiała same truskawki. Nazywało się to paradoks, a ponieważ uwielbiała kolekcjonować nieoczywiste słowa o ciekawym brzmieniu, dopisała i to do swojej listy językowych ciekawostek. Nie potrafiła zdecydować, czy woli rower, czy hulajnogę, aż spróbowała jazdy konnej, która stała się jej największą pasją. Uwielbiała też mniejsze i większe wyprawy, te większe chyba nawet trochę bardziej. Rodzice woleli wyjazdy w góry, ona – nad morze, rodzice lubili szybkie wypadki do lasu, ona zaś – na łąkę lub na starówkę jakiegoś nieodległego

miasta. Planowanie wolnych chwil wymagało zatem zgody wszystkich na różne ustępstwa i dzielenia czasu na różne aktywności. Nazywa się to kompromis – kolejne kapitalne słówko. Zoja kochała zwierzaki, z równą fascynacją odkrywała tajemnice delfinów i maleńkich skoczogonków (skoczogonek – czyż to nie brzmi słodziaśnie?). A czasami najzwyczajniej w świecie dopadała ją nuda i samotność księżniczki zamkniętej w wysokiej wieży.

Dzieciństwo Zoi było zatem pełne wielkich radości i zaledwie maleńkich smutków. Dni nie różniły się specjalnie od siebie, ona zaś, tak jak każda inna dziewczynka na świecie, odliczała czas do tych kilku szczególnych kratek w kalendarzu, za którymi ukrywały się święta i rocznice. Uwielbiała nastrój rodzinnej radości i prezenty, ma się rozumieć. Szczególnie niecierpliwie czekała na swoje dziesiąte urodziny. W tej dziesiątce było coś tajemniczego, ekscytującego, nowego, coś niemal dorosłego, kryła się jakaś zapowiedź przyszłości,

a kończył czas odliczania kolejnych urodzin na palcach. Dziesiąte urodziny to nie przelewki – towarzyszą im poważniejsze lektury na półce i mniej różu w szafie oraz w głowie, nowe przedmioty w Bardzo Poważnej Szkole Dla Najprawdziwszych Księżniczek (przypadkowo całkiem podobnej do tej na osiedlu), a nawet zupełnie samodzielne porządki w pudłach z klockami. Ale kiedy ten dzień – pełen życzeń, radości, nadziei i ciepła – przetoczył się już w wieczór, poczuła jakiś rodzaj żalu i rozczarowania. Tort był przepyszny, a prezenty zarazem niespodziewane, jak i wyjątkowo wyprzedzane. A jednak, gdyby spojrzeć głębiej, było to po prostu kolejne „dzisiaj”, które już jutro zamieni się we „wczoraj”. Następne dni przyniosą te same radości i te same smuteczki, a cała magia dziesiątych urodzin może okazać się wyłącznie powolnym wyrastaniem z koronek i poduszkowego tronu. I to, że jedną cyferkę zastąpiły dwie, nie ma żadnego znaczenia. Zoja, choć nie miała, prawdę powiedziawszy,

żadnych powodów do zawodu i narzekań, poczuła dziwną pustkę i długo rozmyślała ze wzrokiem utkwionym w sufit. Czy jest jeszcze dzieckiem, ze wszystkimi przywilejami beztroski, czy już nastolatką? Czy powinna w związku z tym zmienić coś w zachowaniu? Czy nie zrazi do siebie w ten sposób przyjaciół? Pewnie powinna zmienić zainteresowania, odłożyć lalki, a zająć się czymś dorosłym, zatem bez wątpienia trudnym i nudnym. A może zmienić garderobę? Czego świat od niej oczekuje? Rodzice na pewno będą ją wciąż kochać tak samo, przynajmniej tego może być pewna. Ale kim teraz powinna być dla innych, a kim dla siebie? I czy w ogóle ktoś będzie pamiętał o jej pragnieniach, skoro przestaje być dzieckiem? Jedenaste urodziny pewnie już w ogóle nie będą wyjątkowe. A może dzieckiem przestaje się być już w wieku lat siedmiu? Nie, raczej dziewięciu, choć siódemka podobno ma jakieś czarodziejskie znaczenie. Albo dopiero dwunastu! A może nawet trzynastu? Czy musi

zmienić dietę i odstawić ulubione naleśniki? A kino, co z kinem? Kreskówki wypada jeszcze oglądać? Chyba tak, skoro nawet rodzice zaśmiewają się przy kreskówkach. A co z przyszłością? Co jej przyniesie przyszłość? Czy przygody i zwiedzanie dalekich krain, czy też wyłącznie jakieś koszmarne obowiązki? Czy będzie umiała marzyć? Sen nie chciał nadejść, a kiedy w końcu zmrużyła powieki, jej rozterki i rozmyślania przelały się na drugą stronę rzeczywistości i porwał je strumień nocnej tajemnicy.

Zoja śniła, że faktycznie mieszka w zamku o stu jeden komnatach. W zamku o stu i jednej wieży, a każda z nich była tak wysoka, że cumowały do nich obłoczki, a proporce powiewające na szczytach były tak długie, że przypominały podniebne rzeki, znikające gdzieś na krawędzi horyzontu. W swym marzeniu Zoja była najprawdziwszą księżniczką – taką z kart legend i z muzealnych portretów. Nosiła mięciutkie pantofelki, drogocenna biżuteria niemal

ciężyta w swym przepychu i bogactwie, we włosy zaś wpięła kryształową tiarę. A w zasadzie wpięły ją służki, bo Zoję otaczała chmara ludzi tak bardzo pochłoniętych ułatwianiem jej życia, że było to aż niezręczne i męczące. Wszystko najwyraźniej kręciło się tu wokół niej, panowało zamieszanie i gorączkowe przygotowania do szczególnej uroczystości. Do jakiej? No jasne, do jej urodzin! Dziesiąte urodziny zasługują przecież na szczególną oprawę, by całe to oczekiwanie wyjątkowej uroczystości nie zamieniło się w zwyczajny i banalny wieczór. Może przez jakiś maleńki ułamek sekundy poczuła się zarazem najważniejsza i zupełnie niepotrzebna – bo choć to wszystko działo się dla niej, to jednak dla ludzi wokół najwyraźniej w tym akurat momencie ważniejsze było przystrajanie sal i dziedzińców, nakrywanie do stołów, próby orkiestry i podejmowanie gości niż prawdziwa chwila uwagi poświęcona jubilatce. Na szczęście na horyzoncie pojawili się rodzice. A dla rodzi-

ców zawsze przecież najważniejszą na świecie będzie ich mała księżniczka. Sen płynął łagodnie w kierunku coraz większych radości i szczęśliwego finału. Wrota zamczyska otwarto dla wszystkich poddanych, a radosny nastój rozlał się po całym podgrodzium. Zoja wirowała w tańcu, uwijała się wśród przyjaciół, otwierała prezenty, których nie sposób było już zliczyć, a tym bardziej spamiętać. Niewątpliwie szczęśliwa, wciąż jednak oczekiwała czegoś wyjątkowego. Magicznego. W końcu sen, baśń i słodkie dzieciństwo idą w parze z magią, zwłaszcza jeśli jest się księżniczką. Magia to przecież najdoskonalszy klucz do spełniania marzeń i odkrywania niemożliwego, to podarunki chrestnych wrózek, pomocne dłonie domowych skrzatów, latające kucyki, czapki niewidki i pierścienie o cudownej mocy. Wspaniały wehikuł, który przenosi nas do celu, omijając całą żmudną drogę, wszystkie trudy i wyrzeczenia. Magia to najlepszy pomysł na przyszłość jasnych i bezpiecznych odpowiedzi

bez tego żmudnego wczytywania się w treść pytań.

– To by było zbyt proste i zbyt piękne, droga księżniczko. – Przyjazny, choć nieco wyniosły i tajemniczy głos wyrwał Zoję z zadumy i rozmyślań. Zaczęła niemal śnić we śnie, a wszystko i tak wydawało się niezwykle realne. – Magia to także niebezpieczne zaklęcia i mroczne sekrety, tajemnice dostępne tylko tym, którzy odważą się poświęcić własne serce, a zarazem szczęście innych.

Zoja ze zdumieniem spoglądała na kogoś, kto najwyraźniej doskonale znał się i na magii, i na ludziach. Wyglądał najzupełniej zwyczajnie, może nawet nieco znajomo, i niemal nie pasował do jej snu.

– Nikt nie będzie w stanie wyczarować dla ciebie tego, co możesz przywołać tylko ty sama – kontynuował. – A kiedy opanujesz tę sztukę, będziesz mogła też dzielić się szczęściem z innymi, i żadna magia nie jest do tego potrzebna.

Zoja zmarszczyła noseć, wlepiając wzrok w rozmówcę. Był to uprzejmy jegomość w średnim wieku, lekko siwiejący i ubrany w skromne szare szaty. Przy pewnej dozie wyobraźni, można by było wziąć go za maga – tym bardziej że najwyraźniej wiedział, o czym mówi. Miał łagodne błękitne oczy i podobnie łagodny uśmiech, choć starał się go nie nadużywać. Najwyraźniej wiedział, że uśmiech równie dobrze może oznaczać uprzejmość, jak i zupełnie nie stosowny brak poważania, zwłaszcza w sytuacji, w której zaprasza się do nietatwej rozmowy dziesięćciolatkę i z konieczności spogląda na nią nieco z góry.

Zoja uznała, że to mądre i roztropne zachowanie, ma zatem do czynienia z uczonym, z mędrceć, a nie z czarodziejem. Choć wspomniana przez niego sztuka przywoływania szczęścia i spełniania pragnień zdecydowanie kojarzyła jej się z magią i dobrymi wrózkami, z kwiatem paproci, złotą rybką, dżinami, z czarodziejską jabłonią i całym tym wymiarem

rzeczywistości, który dostępny jest tylko dzieciom. Połączenie tajemnicy i snu może przyprawić o zawrót głowy.

– Obawiam się, że to dość trudne dla dziewczynki – oświadczyła uprzejmie, lecz stanowczo. – Poza tym to strasznie irytujące oraz... – tu szukała przez chwilę właściwego określenia – ...oraz schematowe. Mówić tak zagadkami i udawać mądrałą, bo jest się starszym!

Świat, w którym droga do bogactw, szczęścia i sławy prowadzi przez liczne wyzwania i nie da się jej ominąć za pomocą prostego machnięcia różdżką, wydał jej się okrutny i niesprawiedliwy. I zbyt dorosły, jak na jej marzenia. Rodzice muszą sobie radzić bez magii i czasami wyglądają na strasznie zmęczonych. A ona potrafi prostym, dziecięcym życzeniem zamienić konika na biegunach w jednoroźca i nawet jeśli ten jednorożec istnieje tylko w jej wyobraźni, to jednak istnieje. A to już coś! Po prostu jest jeszcze zbyt mała, by na stałe zmieniać chusteczkę w kwiat i odwrotnie, ale... Właśnie! To

byłby cudowny prezent na dziesiąte urodziny! Wielka moc! Poza tym w jakim to niby inny sposób miałyby szukać tego szczęścia i jeszcze dzielić się nim z innymi?

Nieznajomy wydawał się wręcz czytać w jej myślach, gdyż niemal w tym samym momencie pospieszył z wyjaśnieniami:

– Wybacz, droga księżniczko, chciałem tylko powiedzieć, że masz już w sobie siłę potężniejszą niż wszystkie zaklęcia świata.

Zoja spojrzała na niego pytająco, więc dotknął swej piersi, a później czoła i odpowiedział jej pytającym spojrzeniem.

– Tutaj – wyszeptała Zoja, powtarzając jego gesty – i tutaj?

Z tym, że nosi w sercu mnóstwo pragnień, mogła się zgodzić. Ale głowie, której nie brakowało pomysłów, brakowało jednak pewności, sposobów i gotowych rozwiązań. Gotowych recept... Zaklęć, dokładnie rzecz ujmując.

– Tak. To jest moc niepowtarzalna, bo tylko twoja, a zarazem zwyczajna, bo przecież każdy

z nas ma serce i rozum. A jedno prawdziwie szczere serce i jedna mądra głowa wystarczą, by ogrzać i rozpalić inne.

– Nie wiem dlaczego, ale rozpalanie kojarzy mi się z czymś niebezpiecznym – odparła zadziornie i całkiem rozsądnie, jeśli się nad tym zastanowić. Pfff... – dodała w duchu. Może to nieładnie tak myśleć o innych, ale to jakiś straszny mądrała i nudziarz. I chyba trochę oszukuje w kwestii tej mocy.

Tym razem jej rozmówca nie próbował powstrzymać uśmiechu, choć nie mógł odmówić jej roztropności.

– Wystarczy wiedzieć, kiedy słuchać serca i jak używać głowy – odparł. – To będzie mój prezent na twoje urodziny. Wyjątkowy prezent na wyjątkowe urromrrr... mrrru... mrr... mrrrau...

*

– Wstałam dziś lewą nogą – oświadczyła naburmuszona, wchodząc do kuchni, kiedy

wreszcie uwolniła się od mrużenia swojej ukochanej kotki, z pościeli, z resztek snu i z wrażenia, że nie dośniła tego, co najważniejsze.

– A to dlaczego? – spytała z uśmiechem mama, w biegu całując ją na dzień dobry i zbierając papiery do pracy. – Co zjesz na śniadanie? Dziesięciolatka ma jakieś szczególne wymagania?

– Zupę mleczną – odparła Zoja, w głębi ducha poszukując odpowiedzi na pierwsze z pytań mamy. Mama w zabieganiu najczęściej stawiała całe rzędy pytań, przeplatając te całkiem banalne z absolutnie spektakularnymi. Zoja uwielbiała wyrażenie „spektakularnie”, a także „aczkolwiek”, „albowiem”, „prestizowy”, „hipotetycznie”, „zjawiskowo”, „skory”, „czy” oraz „krzątania”, „argument” i „wybiórczy”. Po prostu świetnie brzmiały, jeśli pobawić się głoskami. Usadowiła się przy stole, jedną ręką tuląc kotkę, drugą odgarniając niesforne włosy z czoła i policzków, po czym zębami podciągnęła rękawy bluzy. Takiej ulubionej,

cieplutkiej, porannej bluzy, która pachniała pierwszymi promieniami słońca, gwarem w kuchni, aromatem kawy, mruczeniem kota, radiowymi wiadomościami i w zasadzie była już za mała, a rysunek jednorożca sprął się niemal zupełnie. Za to rękawy rozciągnęły się ponad wszelkie wyobrażenie.

– Co jest ważniejsze: serce czy głowa? – zapytała, kiedy mama dopijała kawę z nosem utkwionym w zaległej korespondencji, a tata bawił się w „złapię mleko na krawędzi garnka”.

– Serce – odpowiedziała mama. – A czemu pytasz? Czy my nie jesteśmy już trochę spóźnieni? Serce chyba pozwala nam być ludźmi?

– Głowa – odpowiedział tata, wsłuchując się, czy w strumieniu pytań nie pojawiło się coś absolutnie spektakularnego, i na moment odwracając uwagę od mleka na fajerce.

– Bo miałam taki sen, w którym mogłam dostać wyjątkowy prezent na dziesiąte urodziny – wyrzuciła z siebie Zoja tonem na granicy

irytacji i pretensji. – Nauczyć się czarować bez czarów i używać głowy i serca i rozpalać inne głowy i inne serca i przywoływać szczęście i się nim dzielić bez machania różdżką i bez tych wszystkich waszych kłopotów też i mieć wreszcie taki sposób na nieznikanie jednorożców chociaż to chyba chodzi o coś innego niż jednorożce i mieć prezent taki na jaki czekałam aczkolwiek nawet nie wiedziałam że mogę go mieć nie to żeby wasze były słabe i żeby ich nie doceniała no sami wiecie o co mi chodzi nie nie wiecie o co mi chodzi no mówiłam przecież że o taką moc którą ma każdy ale moja jest wyjątkowa tylko nie wiem jak jej używać bo ona działa inaczej niż w bajkach...

– Głowa – poprawiła się mama, kiedy Zoja wreszcie zrobiła pauzę na oddech i poszukiwanie znaków interpunkcyjnych.

– Serce – zmienił zdanie tata.

A mleko wykpiąło.

*

– Wstałam dziś lewą nogą i jestem zła – oznajmiła Zoja, taszcząc do kuchni kota i własne niezadowolenie.

– Znowu? W zasadzie to już tradycja. – Mama chciała ją przytulić w porannym zabieganiu, ale Zoja zdecydowanie nie miała ochoty na wesoły poranek.

– Serce – westchnął tata.

*

– Nie mogę dośnić mojego snu – zżymała się Zoja, stawiając pod znakiem zapytania pogodny nastrój kolejnego już poranka.

– A co tam zostało do dośnienia? – zainteresowała się mama. – Spakowałeś kanapki? Umówiliśmy się z mechanikiem? Tego snu z urodzin? Ile to już dni minęło?

– Sama nie wiem... Sposób – odparła dziesięciolatka.

– Sposób? – włączył się tata.

– Na taką magię bez magii – wyjaśniła córeńka, tuląc policzek do kota. – Na wyczarowanie sobie szczęścia i wykorzystanie mocy, którą mam tylko ja, więc nikt inny nie stworzy mi tego, co sama mogę wyczarować. – Wbiła wzrok w talerz owsianki, która musiała jej się wydać bardzo zwyczajna, bo szybciotko dodała: – Ale bez czarowania. Chyba tak po dorostemu – tłumaczyła niepewnie, bo dorostłość wcale nie kojarzyła jej się z wyjątkowymi mocami.

– Skoro nie możesz dośnić swojego snu, to przenieś go na jawę – zaproponowała mama, jak zawsze twardo stąpająca po ziemi. – Czy nie powinniśmy już wychodzić?

– Bardzo dobry pomysł – zgodził się tata. – Skoro możemy śnić o swoich marzeniach i przenosić do marzeń pragnienia, to równie dobrze możemy dopisać ciąg dalszy snów w realnym świecie. Może niekoniecznie dośnić, ale...

– Dopowiedzieć – dopowiedziała mama. Tym razem bez żadnego pytania na dokładkę.

Zoja pokiwała niepewnie głową, ale pomysł wydał jej się całkiem sensowny. Wielokrotnie śniła o wymarzonych miejscach, zdarzeniach i zabawkach, wielokrotnie śniła o sobie w roli bohaterki baśni i legend. Sen bywał rozdziałem dopisywanym przez noc do pragnień dnia i codzienności. Wyobrażała sobie miejsca i przygody, tuląc się do poduszki, a później przenosiła się tam, gdy zamykała oczy. Wymyślała sobie sen. W takim razie równie dobrze może dopisać brakujący fragment do tego urodzinowego.

– Ale chyba ktoś musi mi pomóc – zaznaczyła z przekonaniem.

*

Kiedy tata oświadczył, że tym razem nie przeczyta jej na dobranoc, zdziwiła się nieco. Ale rodzic pospieszył szybko z wyjaśnieniem:

– Mieliśmy przecież dokończyć opowieść, którą przerwał ci poranek i stęskniony kociak – uśmiechnął się do córeczki, poprawiając podu-

chy, w które się zapadła. – Chyba wiem, czego tam zabrakło, i choć nie jestem tajemniczym mędrcelem z baśniowej krainy, to postaram się go zastąpić.

Zrobił dziwaczną minę, która według niego pewnie miała być tajemnicza.

– Uważam, że jesteś bardzo mądry – zapewniła Zoja. – A przynajmniej wystarczająco dorosły jak na mędrca.

W ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie powiedzieć „stary”. Choć tata powtarzał, że nie ma nic złego w nazywaniu rzeczy po imieniu – pod warunkiem, że nazywamy rzeczy bez zbędnego oceniania i przypisywania wartości. Albo ich odbierania. Trudne i typowe dla dorosłych, którzy do wszystkiego muszą dopisać jakieś „ale”. Musiała jednak przyznać, że niesprawiedliwą oceną łatwo zranić, więc chyba jednak tkwił w tym jakiś głębszy sens.

– Wiek nie ma tu nic do rzeczy – odpowiedział i mrugnął okiem. – Po prostu miałem czas dośnić więcej snów niż ty. Niedośnić

także – dodał po chwili zastanowienia. – I miałem więcej okazji, by się nad nimi zastanowić. Dorośli potrafią być bardzo nierozsądni, chyba nawet częściej niż dzieci.

To wszystko wydało się Zoi tyleż dziwne, co intrygujące więc na wszelki wypadek upewniła się, pytając:

– Ale ty wiesz, co byłoby dalej?

– Wiem, moja księżniczko. Podaruję ci ten wyjątkowy prezent, który okaże się kluczem do serca i do głowy. Na pozór to coś bardzo zwyczajnego. To słowa. W snach układają się w zaklęcia, na jawie powstają z nich baśnie, legendy, mity, opowieści i opowiadki, historie i historyjki... Niektóre może nawet wydadzą ci się znajome. Ale jeśli pozwolisz, by zostawiły w tobie jakiś ślad, coś więcej niż znaną ci już melodię słów, które malują sielskie obrazy i kołyszają do snu, to okaże się, że pozostawią coś w pamięci. Pozostawią uśmiech, smutek, zadumę, pewność, radość. Wszystko, czego potrzebujesz, by dziesięciolatka, pozostając

dzieckiem i księżniczką pluszaków, stała się jednocześnie kimś zupełnie nowym. Kimś, kto kieruje się mocą większą niż najpotężniejsza magia.

– Brzmi jak obietnica bez pokrycia – zaprotestowała. – Lubię bajki, ale chyba mówiliśmy o jakiejś mocy?

– To zależy, jak słuchasz, co chcesz usłyszeć i co odnaleźć. Uwierz mi, poznałem w życiu wystarczająco dużo historii, by wiedzieć, o czym mówię – uśmiechnął się tata.

Zoja przechyliła główkę w oznace największego zaciekawienia. To mogło się udać, w końcu ich ulubioną zabawą było układanie wierszyków, odkrywanie nowych znaczeń słów, a ostatnio zaczęła oswajać scrabble. Jednym łykiem dopiła rumiankową herbatkę, odłożyła na półkę książeczkę zaplanowaną jako lekturę na ten wieczór, a tata rozpoczął pierwszą z opowieści.



Klucz pierwszy

czyli o jednym
marzeniu i wielu
radościach



Daleko na północy żyła sobie w potężnym zamczysku królowna. Miała lat dziesięć i ciekawość świata typową dla dziesięciolatki. Pragnęła też radości – jak każde dziecko – choć północne krainy, do których słońce nieczęsto zagląda, a lód i śnieg pokrywają wszystko aż po horyzont, nie dostarczały jej zbyt wielu powodów do uśmiechu. Pewnie z tego powodu uwielbiała chwile, w których przybywali kupcy z dalekich krain. Karawany zwoziły towary o nieznanach kolorach, kształtach i aromatach, a nad wszystkim – jak echo odległych marzeń – unosił się gwar obcych języków. Przewodnicy i kupcy dzielili się chętnie opowieściami z dalekiego świata, bo też nikt nie potrafił słuchać tak jak

królowna. Chłoneła każde słowo i zasypywała rozmówców pytaniami, a wszystko, co słyszała, było dla niej fascynujące i niemal nierealne w porównaniu z wszechobecną bielą.

Pewnego razu kupiec, który nie pierwszy już raz zajechał na północ z przyprawami i suszonymi owocami o nazwach niemożliwych do zapamiętania, obdarował ją wspaniałym podarunkiem. Była to księga o dalekich, południowych stronach, pełna map wyrysowanych zielenią i błękitem, rysunków miast, zwierząt i roślin. A ze wszystkich cudów natury, których nikt tu nigdy nie widział, księżniczkę najbardziej zafascynowały delikatne stworzenia o skrzydłach ozdobionych wszystkimi barwami zorzy (która na północy często rozświetlała niebo).

Czy ktoś mógłby opowiedzieć o nich coś więcej? Szukając odpowiedzi na swoje pytanie, dotarła do nadwornego alchemika. Alchemik uchodził za największego mędrca na całym dworze, mimo że jego próby przemiany ołowiu

w złoto wciąż kończyły się niepowodzeniem. Choć znał sztukę panowania nad ogniem i wodą, a z jego pracowni co rusz dobiegały zapachy nowych substancji, których nikt jeszcze dotąd nie spreparował, to ołów wciąż pozostawał ołowiem, a sam alchemik popadał w zgrzyotę. Odsunął się od ludzi i chyba tylko małe dziecko mogło jeszcze liczyć na odrobinę jego sympatii. Królowna rozłożyła przed nim księgę, a on – nieco zdziwiony odkryciem, że istnieje wciąż świat poza pracownią i oparami chemicznych eksperymentów – wyjaśnił jej, że to motyle. Nim skończył się dzień, królowa wyciągnęła wszystkie możliwe informacje o motylach – od alchemika, od rodziców, od nadwornego szambelana i kapitana straży (który, prawdę mówiąc, nigdy nosa poza północ nie wystawił i niewiele wiedział o motylach), a przede wszystkim od samych kupców. Z wypiekami na twarzy słuchała o cudownych, zwiewnych stworzeniach, lżejszych niż tchnienie, bezbronnych wobec wiatru, burzy i całego

świata, a zarazem tak pysznych i na tyle odważnych, by przywdziać najpiękniejsze, krzykliwe kolory.

A później popadła w smutek. Zdała sobie bowiem sprawę, że w tej zimnej krainie nigdy nie zobaczy motyla. Z każdym dniem jej smutek się pogłębiał i wszystko, co wypełniało przez dziesięć lat jej świat – niebosiężne góry, sosnowe lasy, lodowe tafle jezior, płonące szczyty wulkanów na horyzoncie, srebrne chmury na kryształowym niebie, rwące potoki i pieśni nigdy niestabnącego wiatru – wszystko to wydało jej się nijakie, banalne i pozbawione uroku. Na nic zdały się zapewnienia zaprzyjaźnionych kupców, że północ dla nich jest piękniejsza, bardziej tajemnicza i zjawiskowa niż własny dom. Że nigdzie nie można tak odetchnąć pełną piersią i ujrzeć tak odległej dali. Że na południu gwiazdy nie błyszczą takim blaskiem, a ujrzienie zorzy jest marzeniem poetów. Aż w końcu nawet alchemik, pochłonięty swoimi wciąż nieudanymi próbami wytworzenia złota